PRZEGLĄD SŁOWIANSKI.

Dwutygodnik poświęcony wzajemności słowiańskiéj, a mianowicie sprawom polskim, czeskim i ruskim.

Spólna moc tylko zdoła nas ocalić.
A. Mickiewicz.

Nr. 6. Poznań, dnia 19 Marca 1881. Rok I.

W sprawie porozumienia z Rosyą.

Kilka słów odpowiedzi „Dniewnikowi Warszawskiemu.“

I.

Wychodzi w Warszawie „Dniewnik Warszawski“ w języku rosyjskim, który pragnie budować Polakom złoty most zgody z Rosyanami. W nr. z 25 Lutego (starego stylu) umieszcza „Dniewnik“ korespondencyą z Poznania, która dość obszernie zajmuje się „Przeglądem Słowiańskim.“ Korespondent, podpisany głoską A, chce aby go uważać za Polaka, pisze jednak nie ze stanowiska polskiego, ale z rosyjskiego, a raczéj słowiańsko-rosyjskiego. Głos ten, umieszczony w piśmie rosyjskiém, nie jest bez znaczenia, a że nam Polakom wielce na zgodzie, a choćby tylko porozumieniu z Rosyanami zależeć powinno, przeto podajemy głos ten w naszém piśmie. Trzeba zbierać skrzętnie wszelkie podobne objawy, dążące do porozumienia z Rosyą. Otóż i odnośny ustęp:

„Obecnie zaczyna się jeszcze przebijać nowa tendencya, wiodąca nas na inną drogę. — Czy ona sformułowana trafnie, czy zupełnie świadoma siebie i czy odpowiada obecnéj sytuacyi? -- Zobaczymy. — Mamy zajmującą zapowiedź p. Józefa Chociszewskiego, jednego z głównych działaczy naszéj ludowéj literatury *(odnogo iz glawnich djejatelej naszej narodnoj literaturu.)* Ośmielił się on wydawać od 1 Stycznia 1881 roku, w Poznaniu, pismo poświęcone sprawie słowiańskiéj. Jego gazeta będzie wychodzić dwa razy na miesiąc i nosi nagłówek: „Przegląd Słowiański.“

Życzymy powodzenia p. Chociszewskiemu, lecz pytanie, czy się znajdą w Poznaniu miejscowe siły do wydawania pisma z takim kierunkiem? — Tego nie wiemy, lecz nam się zdaje, że im więcéj osób kompetentnych wejdzie w skład redakcyi, im one serdeczniéj zajmą się sprawą narodową, tym szerszy zakres, tym szersze pole działalności otworzy się temu pismu. Przypuśćmy, że miejscowi przedpłaciciele nie wystarczą, to trzeba się spodziewać, że oni się znajdą i poza granicami Prus. Daremnie atoli nie ubolewać nad tém, że p. Ch. ograniczył swój program do nader szczupłego zakresu. Zaznacza on za główny kierunek, za przewodnią ideę, co następuje: „Dla nas Polaków sprawa słowiańska niesłychanego jest znaczenia. Tylko w połączeniu z ludami słowiańskiemi możemy osiągnąć szczęśliwszą przyszłość.“ Mówi daléj w programie: „Pamiętajmy, że Słowianie mogą być tylko z nami lub przeciw nam.“ To znaczy, że i p. Ch. nie dopuszcza żadnych pośrednich dróg i samodzielnego bytu Polski, wewnątrz słowiańskiego świata. Według nas nader to logiczny pogląd, oparty na prawdziwém pojęciu przeszłości i na szukaniu odpowiednich podpór dla przyszłości. — Otóż to właśnie co do tego bije w oczy bezcielesność ciasnego programu. Rzeczony redaktor nawykł zajmować się wyłącznie sprawami (przedewszystkiem politycznemi) Polski, Rusi (Małorusów) i Czech. Czyż to już cały świat słowiański, najbliższy polskiemu narodowi? Czy p. Ch. zgodnie z rzeczywistością spogląda tym sposobem na sprawę? — Skoro niejako za podstawę przyjął twierdzenie: „Słowianie mogą być tylko z nami lub przeciw nam,“ to myśmy obowiązani przypuścić, że narody najbliższe, sąsiadujące między sobą, tym bardziéj takie, z którémi dzieje związały nas w jeden państwowy organizm, powinny być wzięte w rachubę do nakreślonych planów o naszéj przyszłości. Nikomu nie nastręczamy naszéj logiki, ale stawiamy jednak do uwzględnienia redaktorowi, że on, być może niepotrzebnie, wykluczył ze swego programu — Rosyę. — Taką myśl, zdaje się, wolno nasunąć i wzajem nie można jéj policzyć do występku, względnie do naszéj polskiéj idei. Wiem, że w Królestwie ta myśl dostąpiła prawa społecznego obywatelstwa, okrom wiecznie protestujących korespondentów do zagranicznych gazet. Czyż poznańscy publicyści zrozumieją tę sprawę inaczéj? — Taki pogląd niekoniecznie wydaje mi się logicznym. My w Księstwie patrzymy na Rosyę, jak na brutalną, wojenną i policyjną siłę, — i dlatego zupełnie zamilczamy o niéj, albo mówimy ze wstrętem. Czyż się nie mylimy? — Jako siła, proszona czy niepro-

szona, Rosya nie przestanie wywierać wpływu na wszelkie nasze nadzieje. Przypuśćmy, że powiemy jéj: „My nie chcemy tego wpływu!“ ale, darujcie, czy ona nas usłucha? Być może, my w tym ogromnym policyjnym organiźmie możebyśmy znaleźli jeszcze co niebądź żywioł do grupowania słowiańskości, okrom brutalno-policyjnéj i wojskowéj siły? — „My nic podobnego nie widzim.“ — mogą nam na to odpowiedzieć. Ja zaś zapewniam, że jest coś, czego my nie widzim dlatego, że nie szukamy. Radzę przeto poszukać. — Polska, Ruś, Czechy — p. Ch. narachował całe 36 milionów w granicach, jakie zajmują te konary pnia słowiańskiego. Do odnośnéj rachuby wystarczyłoby to na federacyę zaokrąglonego państwa, — ale, jakże ten cel osiągnąć? — Według mnie nie znaleźć w tym kierunku żadnéj nadziei. My dochodzimy w naszych przypuszczeniach do ostatecznych kresów, my przypuszczamy pospołu z p. Ch., że porozumienie już nastąpiło, że wyrobiły się wzajemne sympatye i że zaledwie brak politycznego bytu. — Na tym punkcie już trzeba liczyć się z Rosyą z jednéj, z Austryą z drugiéj strony. Przypuszczamy w tym kierunku potrójny sojusz i że złoży się w przyszłości państwo. Zapewne p. Ch. nie liczy na tak lekkie wykonanie swéj idei. Z tego bowiem proste następstwo, że dla dopełnienia naszego potrójnego przymierza koniecznością jest szukać jeszcze w kimkolwiek ramienia, mianowicie zaś tam, gdzie jest wojskowa siła dla spojenia różnych żywiołów w państwową jedność. — Szukamy i otóż sprzymierzeniec pod ręką — Austrya, która nas potrzebuje o tyle, o ile my jéj potrzebujemy. — Przypominamy tu sobie program wiedeńskiego „Tagblattu“; to nie marzenie jednego organu prasy, dlatego, że w jego pragnieniach wyraża się logika historyi, podsuwająca nam całém stuleciem jedno i tożsamo: szukajcie siły, wytwarzajcie zwyczajowe dążności dla powiązania naszych stósunków ze sprzymierzeńcami. — Razem z nami istnieje gotowa siła, — ale — darujcie — ona nie znajduje się w Austryi, która sama szuka dróg państwowych, — prowadzą ją na pasku Niemcy, zakrawające swemi pretensyami na Warszawę. — Istnieje inna siła, zanadto ogromna, zanadto bijąca w oczy, żebyśmy jéj nie mieli zauważyć. Ale pospolicie mówimy wtedy, że w téj stronie jeszcze nie wyrobione instynktowne zmysły do sojuszu. Za przeproszeniem, czy zapomnieliśmy, czy zapomnimy o nich? Pośród zaś tego dla działania w tym kierunku znaleziono obszerne pole, jeszcze bardziéj rozszerzające się w obecnych czasach. — Według tego to, jeszcze większą próżnię widzimy w programie p. Chociszewskiego. Dlatego znowu powtarzamy, że nikomu nie narzucamy naszego pojęcia i nie prosimy, żeby je przyjmował ktokolwiek z naszych spółziomków — czynimy jeno nasze uwagi. — Ruś — mówi p. Ch. — ... W imię miłości dla swego narodu p. Ch. raz poraz odsiaduje niemieckie więzienia (*tjurmy*), co właśnie upoważnia nas do wypowiedzenia słowa prawdy i zapytania, czy znasz, panie Ch. Ruś? czyś ją pan obserwował i poznał, jakie w jéj ustrój wchodzą żywioły? Położywszy rękę na sercu, ośmielam się powiedzieć, że, jeźli się zostawi na uboczu Rosyę, tedy na Rusi nie znaleźć żadnéj drogi, żadnego punktu wyjścia. Zawyrokujemy o tym nie z posłuchu, nie z opowieści, lecz weźmiem się do poznania gleby na miejscu. Bez takowego poznania sprawy, publicysta nie może i nie powinien zabierać głosu dlatego, że w jego poglądach znajdzie się cały szereg uchybień, gdy tymczasem organ prasy obowiązany jest rozpowszechniać pośród publiczności najwierniejszy stan rzeczy. Wrzekomy kierunek pisma nie oświeci publiki. W programie „Przeglądu Słowiańskiego“ spotykamy tak rażącą pomyłkę, że np. w rubryce „wiadomości literackie“ (§ VIII) i w § III przyrzeka podawać literackie przekłady, chociaż o rosyjskiéj literaturze nie powiedziano ani słowa. P. Chociszewskiemu, jako prywatnéj osobistości, wolno zupełnie nie znać téjże literatury; natomiast, jako publicyście, jako redaktorowi słowiańskiego pisma, nie wolno jéj lekceważyć i zbywać milczeniem dlatego, że ona istnieje, że wywiera wpływ na świat słowiański, chlubi się ogromem, a zatém przemilczanie jéj jest tylko rażącym wyrazem zaściankowego kierunku pisma, nastrojonego stronniczym duchem. Czyż to może rokować postęp pisma? — Co najmniéj jest to wątpliwością. — Rubryka korespondencyi uposażona jeszcze ubożéj: wymieniono w niéj tylko Lwów, Pragę, Budziszyn (Bautzen), Zagrzeb, o Warszawie zaś nie nadmieniono ani słówkiem. Poznań nicby nie stracił, gdyby poznał, jakie poglądy, dążenia i cywilizacyjny rozwój istnieją w Moskwie i Petersburgu. Podobny zakres jeszczeby nie zaprzedał Poznania, Lwowa i Krakowa pod panowanie Rosyi, i rozpowszechnienie go nie oznaczałoby wcale przyznawać poddaństwa Rosyi. Prenumerata oznaczona markami (6 na rok) i guldenami (4 rocznie). Pan wydawca oczywiście nie życzy sobie, żeby jego gazetę czytano w Rosyi i w jéj polskich prowincyach. Bardzo być może, iż się uprzedził zawcześnie, że jego wydawnictwa nie puszczą do Rosyi, Królestwa i Litwy. Boleśnie to! Myśmy powinni nauczyć się tak wyrażać nasze myśli, ażeby one miały wstęp wszędzie, i w tym stósunku wypracować nasz język i formę traktowanego przedmiotu. Poczekajmy wreście a zobaczymy, jaki to będzie ów „Przegląd Słowiański“!!!...“

A.

Przytoczyliśmy dosłownie ów ustęp. Obszerniejsze uwagi odkładając do następnego numeru, dodajemy, że zgoda, a choćby na początek porozumienie z Rosyą jest nietylko pożądane i pożyteczne, ale tak dla nas Polaków, jak i Rosyan konieczne. Redaktor „Przeglądu Słowiańskiego" nie od dziś wypowiada to twierdzenie. W „Lechu", który był poprzednikiem niejako „Przeglądu" w nr. 8 z 1878 r. pisałem co następuje w życiorysie Wielopolskiego: „To jest pewnikiem niezachwianym, że, aby Polska odzyskała upragnioną niepodległość, trzeba koniecznie obmyślić jakiś *modus vivendi* z Rosyą, choć to nie potrzebuje być koniecznie osobista unia. Z Rosyą może nastąpić jakieś zetknięcie, pojednanie i z pewnością kiedyś nastąpi — nigdy z Niemcami; ci zawsze trzymać się będą tradycyjnéj polityki antysłowiańskiéj." W tymże roczniku „Lecha" na 404 str. powiedziałem: „Zawiniła Rosya bardzo wiele przeciw Polsce, to prawda, ale uderzmy się w piersi i powiedzmy: czy jesteśmy bez winy?" Ztąd może poznać korespondent „Dziennika", że nie żywię dla Rosyi nienawiści, że o ile się mojéj osoby tyczy, uczyniłbym wszystko co można, aby nastąpiła, jak najprędzéj, pożądana zgoda z Rosyanami, atoli wyraźnie zastrzegam się, że rozumiem tylko zgodę na zasadach słuszności i poszanowania naszego języka, narodowości i wiary. Lecz o tém jak już nadmieniłem, rozpiszemy się obszerniéj w następnym numerze „Przeglądu Słowiańskiego."

Alexander III,

car rosyjski i król polski.

„Adversus hostem aeterna auctoritas est" (przeciw prawom narodu nie masz przedawnienia) — taką zasadę wyryli Rzymianie na dwunastu spiżowych tablicach prawnych. Ta zasada i dziś ma swoje znaczenie dla narodów, pozbawionych bytu politycznego, a zatem odnosi się i do nas Polaków.

Dwojakie jest prawo: Boże i ludzkie. Z zakonu Bożego wynika niewątpliwie, że każdy naród ma niezaprzeczone prawo, aby inne narody szanowały jego język i narodowość. Tych skarbów świętych nikt a nikt wydrzeć nie może, a kto się targa na nie świętokradzką ręką, tego prędzéj czy późniéj dotknie palec Boży.

Narodowość polska już zatem na mocy odwiecznego zakonu Bożego ma prawo do troskliwéj opieki. Oprócz tego atoli język polski i narodowość mają zapewnioną opiekę różnemi prawami a szczególnie międzynarodowym traktatem wiedeńskim 1815 r. Ten traktat, który podpisały Francya, Anglia, Austrya, Prusy i Rosya, dotąd obowiązuje, szczególnie zaś rządy, które go bez naszego udziału nam narzuciły. Prawda, że w rzeczywistości doznał ten traktat dotkliwych uszczerbków, atoli nawet rząd pruski przypomina go sobie w razie potrzeby i uważa za obowiązujący, jak tego mieliśmy dowód wyraźny z powodu sporu o żeglugę na Niemnie.

Otóż ten traktat wiedeński ustanowił tak zwane Królestwo Polskie, połączone z cesarstwem rosyjskiem unią osobistą. Cesarz rosyjski miał być królem polskim, a zresztą ta część dawnéj Polski miała zupełną autonomią, nawet wojsko polskie. Pierwszym królem polskim owego skrawka Rzeczypospolitéj był Alexander I, drugim Mikołaj, trzecim Alexander II, a czwartym jest Alexander III, który co niedawno objął skrwawiony tron carski.

Zanim słówko powiemy o nowym monarsze, którego berłu podlega około 55 milionów Słowian (Rosyan, Polaków, Rusinów i Bułgarów), wypada nadmienić coś o Alexandrze II. Nie był on z urodzenia wrogo usposobionym dla narodowości polskiéj, dopiero późniéj przez różne wpływy, a szczególnie z powodu podszczuwań zażartych naszych wrogów i to niewyłącznie samych Moskali, stał się największym biczem naszego narodu, gdyż ani Katarzyna, ani Mikołaj tyle srogich ciosów na nasz biedny naród nie zwalili, ile zamordowany niedawno od własnych poddanych Alexander II. A przecież trudno odmówić, że miał dobre serce, że był łagodnym, że pragnął reform, a co główna on to zniósł niewolę włościan w swém państwie. Nawet „Goniec Wielkopolski", który doprawdy nie grzeszy życzliwością dla Rosyi, pisząc o zgonie cara, powiada: „Aleksander II miał jak najlepsze skłonności serca." Nieszczęście chciało, że nie znalazł mądrych przyjaciół, co Sofokles uważa za największy dar, jaki śmiertelny od bogów uzyskać może. Przyjaciołmi mądrymi dla monarchy są ministrowie. Tych nie znalazł Alexander i dlatego odznaczał się w ostatnich latach życia taką zaciętością dla Polaków, a życzliwym był nad wyraz dla Niemców. Ztąd téż nie mógł się zdobyć nawet po 18 leciech ustawicznego prześladowania na wielkie słowo przebaczenia, ztąd nie zdołał wymówić tego szczytnego zdania Mickiewicza (ze zmianą atoli jednego wyrazu): *„Dość już jest zemsty, i Polacy są ludzie."* Lecz dosyć tych przykrych wspomnień — już Bóg powołał przed swój tron jego duszę — niechże mu będzie litościwym Sędzią! My Polacy nie odznaczamy się mściwością charakteru, ztąd i Aleksandrowi II życzymy, aby Bóg raczył przebaczyć grzechy jego żywota.

Alexander II umiał dobrze po polsku. Ważna to zaleta, tym więcéj, że dawniéj bywali królowie polscy, którzy po polsku nie umieli (August II i III). Jako chłopczyk podczas koronacyi swego ojca w Warszawie powiedział do swych rowieśników: „Jak zostanę carem, będę największym przyjacielem Polski.“

Wtedy to młody cesarzewicz, ubrany w mundur szasera polskiego z amarantowemi rabatami, na kucyku, sam prowadził pierwszy pułk strzelców konnych, którego był szefem i defilował przed ojcem. Gdy 1852 r. car Mikołaj chciał obsypać Z. Krasińskiego wszelkiemi dostojeństwy, a ten prosił tylko o paszport nieograniczony zagranicę, wtedy odezwał się następca tronu Alexander: „Tak — Polacy są honorowi.“ — Niedługo po wstąpieniu na tron przybył Alexander II do Litwy, gdzie na jakimś balu Polacy i Polki powitali go po rosyjsku. „Czyście już zapomnieli ojczystego języka?“ — odezwie się car, „on tak piękny — sprawcie mi więc tę przyjemność i rozmawiajmy po polsku.“ Gdy następnie kapela zagrała jakiś obcy taniec, car wyrzekł: „Ja nie chcę na to zasłużyć, abyście mi dokuczali — czyście zapomnieli swego mazura i poloneza.“ Wnet muzyka zagrała nutę polską, a car poprosił do tańca szlachciankę zagrodową, stojącą na uboczu. — Nie należy zapomnieć, że car Alexander żywił dobre dla Polaków zamiary, czego złożył dowód w zamianowaniu Wielopolskiego naczelnikiem rządu, a prócz tego zezwolił na objęcie przez X. Felińskiego arcybiskupstwa warszawskiego i przysłał nawet swego brata Konstantego, jako namiestnika do Polski. Niestety! powstanie 1863 r. nietylko oziębiło życzliwe usposobienie cara dla Polaków, ale natchnęło go nawet nienawiścią, tak że przysyłał nam takich wieszatelów Murawiewów, Czerkaskich, Milutynów itd. Lecz nie zwalajmy wszystkiego złego na cara, nie byliśmy i my Polacy bez winy. Można przecież być dobrym Polakiem, a przyznać się do winy

Otóż tedy czwarty z rzędu król polski i car rosyjski Alexander III objął niedawno rządy. Nie wiemy, jakim będzie dla nas monarchą, należy się atoli spodziewać, że jak wogóle nie pójdzie śladami ojca, tak i względem naszego narodu powodować się będzie życzliwością, jaką sie kierowali Paweł I i Alexander I. Byłoby jednakże do życzenia, aby nowemu władcy nie utrudniać niełatwego zaiste zadania. Młody monarcha powinien i od Polaków doznać sympatyi, boć jeżeli wymagamy od niego życzliwych uczuć i szlachetnych czynów, to miejmy i my doń zaufanie. Alexander III nie odznaczał się wrogiém usposobieniem dla Polski, przynajmniéj nigdzie o tém nie ma żadnéj wzmianki, a wiemy, że nie lubi Niemców, ztąd nie ma słusznéj przyczyny, aby żywić dlań jakie uprzedzenie. Odnosi się to mianowicie do Polaków poza granicami rosyjskiemi, a szczególniéj do Galicyi, gdzie pisma polskie zdają się w tém niejako upatrywać patryotyzm, aby wymyślać na cara i na Moskali. Nic to naszéj sprawie nie pomaga, a drażni bez potrzeby naród rosyjski. Inna rzecz wyliczać krzywdy doznane, krytykować postępowanie rządu rosyjskiego i społeczeństwa, a inna rzecz obsypywać Rosyan niezawsze uzasadnionemi zarzutami. Zgadzamy się zupełnie w tym punkcie na przestrogę korespondenta „Dziennika Poznańskiego“ w 29 nr. tego pisma z 1881 r.:

„Ktokolwiek żył dłużéj wśród Rosyan, ten zgodzi się ze mną, że można mówić i pisać o carze, wielkich książętach, ministrach, czynownikach rosyjskich, co się podoba — można nawet Bóg wie jak nazwać cara, można nazwać wielkich książąt złodziejami, ministrów idyotami i kaznokradami, czynowników wziatiocnikami i wszystko to nie będzie uważane za obrazę narodową, nie oburzy, nie rozgniewa. Można daléj pojedyńczo napadać na liberałów lub konserwatystów rosyjskich, na zapadników lub Słowianofilów, na duchowieństwo lub szlachtę, i to nie bardzo rozgniewa społeczeństwo. — Ale ogólnikowe twierdzenie, w brukowym przytem tonie, że Moskale tacy a tacy, gniewa i drażni wszystkich, chociażby najlepiéj usposobionych dla nas Rosyan, a z ludzi indyferentnych czyni wrogów.“

A daléj mówi tenże korespondent: „Łżenie zaś Moskali bez odróżniania rządu od narodu zniknie może z dzienników galicyjskich, kiedy zrozumieją, że

Dla nich to jest igraszką
Nam chodzi o życie.“

Otóż zdaje się nam, że i o nowym carze Alexandrze III należałoby się wyrażać z pewną sympatyą i szacunkiem, a jeżeli tego nie można, to lepiéj nic o nim nie mówić. Pamiętajmy, że głosy życzliwe z naszéj strony bodaj dójdą do jego tronu, ale głos nasz jakikolwiek niechętny, nieprzyjazny będzie wyzyskany jako dowód, że Polacy są wiecznie niepoprawni i że nie warto czynić im dobrze.

Jak w fizycznym, tak i w moralnym świecie ma wszystko swój oznaczony zakres. Niezawsze jaśnieje pogoda, ale i niepogoda nie jest ustawiczną. Tak i prześladowanie żywiołu polskiego ze strony Rosyi znajdzie swoje przesilenie, a może już nawet znalazło. Pocóż je tedy podsycać? Czyż nie lepiéj starać się z naszéj strony o ułatwienie pożądanéj zgody z pobratymczym ludem?

Polska miała chwile szczęśliwe, ale nie umiała z nich korzystać. W r. 1831 byliśmy górą; w roku

1848 wzięłaby sprawa inny obrót, gdyby Mierosławski na czele 20,000 ludu wkroczył do Królestwa; uśmiechnęła się nam lepsza dola 1861 r. — a teraz znowu zbliża się szczęśliwa dla nas chwila — obyśmy umieli z niéj korzystać, obyśmy raz poznali, że nasze zadanie, nasza przyszłość w Słowiańszczyznie, co tak trafnie określił Alexander I w liście do Kościuszki.

Alexander III w manifeście, którym obwieszcza swoje wstąpienie na tron carski, wspomina dwa razy o tém, że jest królem polskim. Witamy to jako zapowiedź jego dobrego usposobienia dla nas Polaków, gdyż jeżeli powołuje się na tytuł, wynikający z traktatu wiedeńskiego, pomyśli zapewne i o wykonaniu postanowień tego traktatu, a w każdym razie usunie niezawodnie owe haniebne rozporządzenia, aby Polacy nie mogli dóbr nabywać, aby płacili kontrybucyę, nie dozwoli prześladować katolicyzmu itd.

Miejmy nadzieję, że Alexander III pójdzie śladami Alexandra I, zwanego „Wskrzesicielem Polski“, dla którego Polacy żywili i żywią wdzięczne wspomnienie.

Krótkie wspomnienie o czeskim poecie Bolesławie Jabłońskim.

Pobratymczy nasz naród czeski poniósł wielką stratę, gdyż na d. 27 Lutego rb. pożegnał ten świat Bolesław Jabłoński, jeden z jego najszlachetniejszych synów i wskrzesicieli narodowości czeskiéj. Mąż ten nie jest i dla nas Polaków obojętnym, gdyż spędził większą część żywota w starosławnym Krakowie, jako proboszcz parafii zwierzynieckiéj przy kościele Norbertanek, a ukochał on całém sercem i drugą swą Ojczyznę Polskę i pracował szczerze dla dobra naszego narodu. Był on tedy jednym z łączników, pragnących połączyć dwa bratnie słowiańskie plemiona, które dotąd jakoby pod czarem jakiegoś piekielnego zaklęcia nie mogą się zbliżyć do siebie, jak tego wymaga nietylko dobro nasze, ale i dobro całéj Słowiańszczyzny.

Bolesław Jabłoński zwał się właściwie Karól Eugeniusz Tupy, atoli w Czechach słynął i słynie tylko pod imieniem Jabłońskiego. Urodził się 1813 r. z ubogich rodziców w Kardaszowie Rzeczyczy w Czechach. Już w wczesnym wieku, gdy był uczniem gimnazyum w Indrzychowéj Hradcy objawił się w nim talent poetyczny. Po ukończeniu nauk gimnazyalnych udał się do Pragi, gdzie kształcił się daléj na uniwersytecie prazkim. Tu poznał się z sławnym pisarzem czeskim Kajetanem Tylem. Już wówczas umieszczał w pismach czeskich swe poetyczne utwory. Z woli rodziców wstąpił do klasztoru premonstranckiego w Pradze, atoli niedługo opuścił zakon, gdyż nie podobało mu się w klasztorze. Chciał jako pisarz pracować dla dobra Ojczyzny, atoli wówczas z autorstwa nie można się było utrzymać. Napisał w tym czasie Tupy poezyą: „Tři zlaté vlasy“, która zwróciła nań powszechną uwagę w Czechach. Występował także pewien czas w teatrze. Widząc jednakże, iż nie wyrobi sobie stanowiska jako pisarz, wstąpił znowu do klasztoru, a r. 1841 został wyświęcony na księdza. Roku 1847 na wezwanie ksieni Norbertanek w Krakowie, przeniósł się do klasztoru Zwierzyńca, gdzie całe życie spędził. Z początku doznawał wielkich trudności, gdyż władza duchowna nie chciała go potwierdzić w urzędzie, jako cudzoziemca. Przecież w końcu został zatwierdzony, a niedługo dla jego szlachetnych zalet pokochali go wszyscy w Krakowie, jak własnego rodaka. Jabłoński starał się też nie jeść darmo polskiego chleba. Nauczył się tak dobrze po polsku, że lepiéj mówił naszym językiem, aniżeli po niemiecku. Brał żywy udział we wszystkich sprawach polskich, szczególnie zaś opiekował się troskliwie szkołami. Od 1858 do 67 roku był dozórcą szkół okręgu przedmiejskiego, a po złożeniu tego urzędu starał się ze wszech sił o rozwój szkół w swéj parafii. Za jego głównie sprawą stanęły piękne budynki szkolne w Półwsi, w Bielanach, Olszanicy, Bronowicach, w Woli Justowskiéj i w Prądniku czerwonym. Zwykł był mawiać, że praca nad podniesieniem szkół jest jego najmilszą czynnością. To też kiedy złożył urząd dozórcy okręgowego, wdzięczni nauczyciele z dziećmi urządzili uroczyste nabożeństwo za pomyślność X. Tupego i wręczyli mu adres dziękczynny, a po zgonie położyli na jego trumnie piękny wieniec z napisem: „Nauczyciele szkół ludowych swemu kochanemu przełożonemu“ i odnieśli na barkach zwłoki jego do grobu. Była to cicha praca, nie tak głośna, jak czynność poetyczna, ale niemniéj użyteczna i ważna.

Bolesław Jabłoński nie należy do pierwszorzędnych czeskich poetów, a jednakże zgon jego wywołał w całych Czechach ogólny smutek. Nie napisał on wprawdzie wiele, ale za to poezye jego odznaczają się szlachetną, prześliczną, cudną formą, bogactwem myśli, a treść tchnie przeważnie miłością Boga i Ojczyzny. Umiał też dodać wdzięku swym czarującym pieśniom przez zbliżenie się do przyrodzenia, z którego brał najpiękniejsze porównania i wzory. Ztąd stał się jednym z najulubieńszych poetów czeskich, a szczególnie młodzież powtarza z zapałem natchnione jego rymy. Do najcelniejszych jego poezyi należą: Pisně milosti, które należą do najpiękniejszych pomników czeskiéj poezyi, potém Moudrost otcowska, wspomniane już wyżéj Tři zlate vlasy, a nadewszystko Tři doby země česke, które brzmiały i brzmią po całych Czechach. Jabłoński przyczynił się wielce do rozbudzenia poczucia narodowego Czechów.

Pisał on i polskie poezye — niestety! nie ogłosił ich za życia, a szkoda wielka, gdyż przez to byłby się znacznie przyczynił do utrwalenia polsko-czeskiéj wzajemności. Wyjdą one zapewne niedługo na widok publiczny, przez co i Polacy zwrócą więcéj uwagi na czeskiego wieszcza.

Zapragnęli Czesi, aby ukochany ich piewca spoczął w ojczystéj ziemi. Myśl pierwszą w téj sprawie rzucił zacny patryota Naprstek, a towarzystwo Svatobor zajęło się wykonaniem téj myśli.

Znany Polakom Edward Jelinek pojechał do Krakowa po drogie zwłoki. Wrócił zatém choć po zgonie natchniony poeta do ukochanéj ziemi czeskiéj, za którą tęsknił przez całe życie. Przypominają się tu mimowoli słowa Ujejskiego w „Pogrzebie Kościuszki", z zmianą wyrazu „hetman" na piewca:

„Aż dopiero teraz wraca na ojczyste łany,
Ale w trumnie! wraca w trumnie piewca ukochany."

Był to prawdziwie tryumfalny pochód. Morawa i Czechy z uwielbieniem witały śmiertelne szczątki narodowego poety. Na dworcach drogi żelaznéj występowało duchowieństwo, cechy z chorągwiami, towarzystwa, młodzież szkolna, rady miejskie itd., a nad drogami stało mnóstwo ludu, aby widzieć choć tylko pociąg, wiozący drogie zwłoki i rzucić choć kilka kwiatów do wagonu. Ta miłość, okazywana wieszczowi, zaiste rozrzewnia. Wszędzie z zapałem dziękowano Polakom za uroczysty współudział w pogrzebie Jabłońskiego.

Juliusz Mien, tłumacz poezyi Słowackiego na francuzkie, napisał piękny życiorys Jabłońskiego i ogłosił w „Czasie" kilka pięknych przekładów poezyi Jabłońskiego, dokonanych przez Czesława.

Jesteśmy przekonani, że Bolesław Jabłoński nietylko od Czechów cześć odbierać będzie, a duch jego niezawodnie poza grobem przyczyniać się będzie do ścisłego połączenia dwóch bratnich słowiańskich narodów Czechów i Polaków.

MARUSIA.

POWIEŚĆ UKRAIŃSKA

Grzegorza Kwitki-Osnowianeńki.

Przełożył z ruskiego

Franciszek Ksawery Mroczko.

(Ciąg dalszy.)

Po odejściu Marusi został Wasyl ze swojemi smutnemi myślami. I dumał... gdyby też ona nie myślała o innym ale o nim jedynie i choć trochę go kochała, jużby mu nic nie było na tym świecie potrzeba ani pieniędzy ani dostatków; jak się ona zarumieniła, kiedy jéj zaczął mówić, że ją pokochał — spuściła oczęta i mięła chusteczkę w ręku... a idąc za Oleną nie powiedziała doń ani słówka, ba nawet nie popatrzyła na niego.

Zwiesiwszy smutno głowę, poszedł ukradkiem za Marusią i ujrzał, że ona w drugą skręciwszy ulicę obejrzała się aż trzy razy a dla czego? któż to może wiedzieć?

Kto odgadnie dziewcząt naturę? one niby to nie lubią, gdy im kto nadskakuje, a jednak budzi się miłość w serduszku niepostrzeżenie... Ale — ale — i téj prawdy zataić nie mogę. Niejedna dziewica obaczywszy młodzieńca, który jéj przypadnie do serdeńka, nawet sobie nie pomyśli zkąd się znajdzie w sercu przywiązanie.

Możeby nieraz pogawędziła z nim chwileczkę — ale jéj się zdaje, że patrzą na nią ludzie z szyderczym na ustach uśmiechem.

A ona biedaczka, nie wie co począć; — wstydzi się, ucieka, a jak młodzieniec przestanie nadskakiwać, to późniéj smutno jéj i bardzo smutno, ale już przepadło, ponieważ młodzieniec, pomyśli sobie: Et, to jakaś dumna sztuka, pal ją licho. A wtedy żałuje dziewczyna swéj nierozwagi — i nieraz z pewnością gorzkiemi zapłacze łzami.

Narzucać się zaś saméj, ani się nie godzi, ani nie wypada, bo ludzie gotowi sobie pomyśleć, że się sama wiesza na szyję. Marusia przyszła smutna do domu. Myślała bowiem, że Wasyl jéj nie kocha, bo gdyby kochał, powiedziałby jéj zaraz wprost, nie mówiłby o kim innym, ale o sobie, a on o sobie nie wspomniał nawet słówkiem. A do tego mówiła jéj Olena, że jakiś majętny gospodarz bierze go za zięcia, daje mu ładną córkę, i grosiwa nie mało. Ile też ona dostanie sukien w pomalowanych skrzyniach, a poduszek ho! ho! z pewnością aż pod sam sufit. Gdzie tam! on nawet nie zechce spojrzeć na mnie. Tak dumała Marusia, weszła do chaty i usiadła smutna na ławie.

Stara Naścia spostrzegła smutek Marusi, że nic o weselnéj nie mówi zabawie i do niczego się nie bierze.

— Czego ty moja Marusiu taka smutna? może ty chora? Jeżelibyś ty jeszcze broń Boże zachorowała, cóżby począł naonczas nasz stary ojciec? powiedzże powiedz, co ciebie boli.

— Nic matusiu.

— Może ci kto co złego powiedział, powiedz no ojcu.

— Nie matusiu.

— Jeżeli ci nic nie brak, to pocóż siedzisz jak mruk? poszłabyś po wodę, bo czas już nastawić wieczerzę.

— Zaraz matusiu, odpowiedziała Marusia, nie ruszając się nawet z miejsca. Matka czekała, czekała, aż nareszcie cierpliwości brakło. Zaczęła się gniewać na Marusię, która się ostatecznie udobruchała, zdjęła z siebie świąteczne odzienie i poskładawszy je należycie, wzięła koszyk w ręce i poszła do ogrodu po kwiaty. Zamiast do ogrodu, poszła z koszykiem jak gdyby z konewkami po wodę do studni. Tu dopiero spostrzegła swój błąd, kiedy obecni tam ludzie, na całe gardło śmiać się zaczęli. Marusia zawstydziła się ogromnie i w nogi do domu. Powróciwszy do chaty, naniecila ogień i próżne przystawia garnki. — zamiast jagieł, któremi miała barszczyk zaprawić, trze sól w makutrze. Słowem, do czego się tylko weźmie nic jéj w ład nie idzie, jak to zazwyczaj inaczéj bywało, tak, że i stary Naum, wróciwszy do domu, dziwił się jéj bezużytecznemu guzdraniu. Ugotowawszy jako tako wieczerzę, poszła do krów Marusia.

— Mój Boże! mój Boże! nie wiem doprawdy, co się stało naszéj Marusi. Powiadam ci mój stary, że do czego się tylko weźmie, nie robi nic jak należy, ale wszystko na opak. Czy ona się czém martwi, czy co jéj takiego? może ją kto urzekł?

— U was kobiet, mruknął Naum, wszystko tylko z uroków. Czy dziecku chłodno, czy gorąco w chacie, mówicie, że to uroki, czy dziecię głodne — uroki — czy się zaśmieje lub zasmuci, uroki; wszystko uroki i uroki? A cóż złego mogą oczy zrobić? ot patrzą na ten świat boży, pełen piękności

i cudów. Ręką wyświadczysz bliźniemu swemu wiele złego, językiem jeszcze więcej, ale oczyma! oczy nikomu nie szkodzą.

— A dla czegóż wszystkie baby powiadają, że z oczu — i wtedy zrzucają węgle, szepcą i zamawiają.

— Baby na to szepcą i zamawiają, aby oszukiwać ludzi głupich i łatwowiernych. Poproś ich jeno, a będą ci cały dzień zażegnywały, szeptały i zamawiały, aby tylko od ciebie kilka wyłudzić groszy. A któż może dopuścić coś na ludzi, krom Boga najmiłościwszego? On to zsyła na nas niedostatek, cierpienia i różnorodne zmartwienia, ale On tylko może nas pocieszyć i podać rękę w niedoli. Dajże więc sobie spokój z czarownicami i znachorkami i nie obrażaj Boga. Pomódl się serdecznie do Niego, nawet leżąc, jeżeli się podnieść nie możesz, i ja się także pomodlę — nie troszcz się, nasza Marusia będzie zdrowa. A teraz cicho — ot i ona idzie.

Marusia weszła właśnie do chaty, zrobiła co do niéj należało, zaczęła się krzątać, wypytywała matusię co ma nazajutrz kupić w miasteczku, wzięła od ojca pieniądze, pościeliła na ławie, pomodliła się gorąco, uderzyła trzy pokłony, aby nie myśleć więcéj o Wasylu.

A uczył ją tak stary Naum; jeżeli cię jakie nawiedzi zmartwienie, zaraz do Boga; uderz trzy pokłony, proś Go, aby od ciebie nieszczęście odwrócił i spodziewaj się na pewno od Niego miłosierdzia, gdyż On jest ojcem naszym i wie czém kogo w jakiś czas nawiedzi. Westchnąwszy raz jeszcze, położyła się spać Marusia, ale sen nie otoczył jéj swemi skrzydełkami i najróżnorodniejsze myśli roiły się w jéj główce. Marusia dumała, ale — nie o Wasylu.

Po cóż mam o nim myśleć, jeżeli on już zaręczony. On był smutny na weselu.... zapewne tęsknił za swoją narzeczoną — a ta chusteczka, którą wyciągał z kieszeni, musi być od niéj.... o, nie dla ciebie nieboże nasze dziewczęta — on płakał... a czego? zapewne za swoją dziewczyną, bez któréj mu tęskno było. Mój Boże, czegóż ja płaczę? po co mam myśleć o nim, ot lepiéj zasnę.... Jutro, skoro świt wstanę, pójdę do miasta, jeżeli go tam przypadkowo zobaczę, to udam, że go zupełnie nie znam, a on pewnie będzie z nią chodził po targu i różne rzeczy kupował na wesele, które pewnie odbędzie się niebawem; jakże się będzie cieszył, kiedy już razem będą. A ona?... czegóż się tak łzami zalewam? ach! nieszczęsna ma dolo! po cóż ja na to wesele chodziła?...

Tak to biedna nasza Marusia, nie chcąc myśleć o Wasylu, o nim jedynie całą noc myślała, nawet oka nie zmrużyła, płakała i martwiła się noc całą.

A krótka też noc u nas w zieloną niedzielę. Jeszcze wieczorna nie zgasła zorza, a już zaświeciła poranna...

Miliony gwiazd, niewidzialną zapalone ręką, zabłysły na przestworze niebieskim — na ziemi urocza zapanowała cisza.

Słowiczek ucichł obok swojéj samiczki, usnął wietrzyk, a gałązki drzemiąc na drzewach, kiedy niekiedy się zakołyszą. Słychać tylko w téj rajskéj ciszy wodę leniwie po łotokach spływającą, a tak cichutko, jak babka, gdy pod kądzielą opowiada bajeczkę i mimowoli się zdrzemie.

Wszędzie cicho i uroczo...

Ale niebawem już jedna schowała się gwiazdka, potem druga i trzecia a nareszcie wszystkie pobladły i utonęły w przestworze niebieskim, jak w morzu bezdennem, a żegnając się z ziemią zapłakały żałośnie, a z tych łez srebrna spadła rosa na trawki i drzewa.... Zbudził się wietrzyk i lekko potrząsł gałązkami po lasach i gajach. Ocknęły się ze snu ptaszków samiczki, a potem zaraz i samczyki swoje otworzyły oczki, zatrzepotały skrzydełkami z radości, że znowu nadchodzi dzień boży, a one na nowo będą latały po tym bożym świecie ze swojemi samiczkami i chwalić będą pięknym śpiewem, Stwórcę i Pana wszech rzeczy.

I ozwał się niebawem ptasząt śpiew, którym chwalą rano i wieczorem Boga, naszego najdobrotliwszego Ojca, którego chwali człowiek, stworzeń korona, każde zwierzę, ptaszek i muszka najdrobniejsza....

Niebawem zaczął śpiewać nasz artysta słowik.

Z początku milczał, jak gdyby podsłuchiwał pieśni swoich skrzydlatych braci, potem zmrużywszy oczęta, otworzył szeroko dzióbek, zaszczebiotał, zaczyrkał, zaświstał i zatrzeszczał... znowu ucichł, jak gdyby swojéj szeptał samiczce, że ją bardzo kocha, a ona jemu mówi, że go bardzo lubi, i jego prześliczną chwali piosenką — a on z radości znowu śpiewa głosem pięknym a miłym na cały gaj... potém pocałują się dzióbkami i znowu dobywa nowego i jeszcze cudniejszego głosu ze swojéj malutkiéj piersi, a zmrużywszy oczki znowu zaszczebiocze, coraz piękniéj, coraz to cudniéj, że aż człowiekowi w sercu wesoło i w duszy błogo....

Na drzewach zaszumiały liście, jak gdyby poranną odmawiały modlitwę dziękując Bogu, że i one cieszyć się będą słoneczka światłem.

Trawka, skropiona rosą niebieską, zazieleniła się, ożyła, kwiateczki podniosły swe główki, pootwierały usteczka i całą dolinę takim ożywiającym napełniły zapachem, że odetchnąwszy nim zapomnisz o wszystkiem, i pomyślisz: o Boże wielki, Ojcze niebieski! wszystko, co tylko jest na ziemi i w jéj kryje się łonie, na morzu i w powietrzu, wszystko to stworzyłeś w nieprzebranéj dobroci swojéj i łaskawości dla człowieka, a on, to nędzne stworzenie, ten pyłek, czy dziękuje Ci za to i jak?

O Boże bądź zawsze miłosiernym dla nas grzeszników!... I nic więcéj nie możemy powiedzieć....

Rzadziuchna mgła nad srebrną wzniosła się rzeczułką, chmurki zaczęły rzednieć, a zbiwszy się w kupki, ustąpiły, aby zrobić miejsce innemu gościowi, królowi, cały świat ożywiającemu.

Po lasach ozłociły się drzew wierzchołki, a piasek złoty sypie się po nich wciąż niżéj a niżéj...

Wszystko nagle ucichło, czegoś oczekuje...

Z za gór wynurzył się jasny krąg słońca... światło... ogień, piękność i życie. I strzeliły złote promienie z twarzy słonecznéj i cała ziemia w tych przecudnych utonęła promieniach. Wszystko umilkło, na boże czekając słoneczko, mające się pokazać światu w całéj swéj piękności. C. d. n.

Marzenia.

Nieznany wiersz Zygmunta Krasińskiego.

Znasz co namiętność? czy ty wiesz co piekło?
Gdy myśl, jak skorpion w ogniu się przewraca?
Gdy serce kipi żądzą szczęścia wściekłą,
I życie życiem co chwila się skraca!
Czy wiesz co próżnia? — czy znasz świat nicości,
Gdzie wszystko zmarło, a żyć jeszcze trzeba,
Żyć bez nadziei i żyć bez miłości,
Patrząc się w niebo, nie wrócić do nieba.
Serce się moje w perzynę rozwiało,
Byłem tak smutny jak nocy milczenie,
Byłem tak zimny jak umarłych ciała,
I tak samotny, jak umarłych cienie.
Na ustach moich drgał śmiech żartobliwy,
Ludzie go mieli za radości znamię,
Ludzie mówili: „Jaki on szczęśliwy.“
Jam tylko wiedział, że ten śmiech mój kłamie!
Tak długom błądził na życia pogrzebie,
Nie znałem duszy, coby mnie pojęła,
Anim jéj szukał; aż spotkałem Ciebie,
Równie samotną i żądza mnie zjęła.
Jeszcze raz w życiu spojrzę w twarz Anioła,
Jeszcze raz w życiu nim zamknę powieki,
Nim darń cmentarzy dotknie mego czoła,
Wyrzec do Ciebie: „Teraz i na wieki.“
Znów czuję węża, który mnie oplata,
Znów czuję Boga, który mnie porywa,
Sen śmierci znika, a w obszarach świata
Hymn wniebowstąpień . . . . . . *).
Jakaż to przestrzeń zielona podemną?
Jakież sklepienie błękitu nademną,
Wszystkiemi marzeń zasiane tęczami.
Wszystkich aniołów zasute skrzydłami!
Znów serce bije, — to wiosna nadchodzi;
Słyszę śpiew ptaków i czuję woń róży;
Bujam po morzu gdzieś w skrzydlatéj łodzi...
Wody tak ciche... ach! nie będzie burzy.
Żagiel mój biały jak sztandar powija,
Przestwór lazuru ciągnie się przedemną,
Ta, którą kocham, może płynie ze mną,
Może w jéj duchu mój duch się odbija?
Może, gdy patrzy na te śliczne fale,
Głos tajemniczy szepce jéj do ucha
Spowiedź méj duszy i wszystkie me żale...
Tylko czy ona mego głosu słucha?
A może teraz, gdy oczy zwróciła,
A jam me czoło pochylił w cierpieniu,
Mówić coś chciała, lecz nic nie mówiła...
Rękę jéj tylko ścisnąłem w milczeniu.

. . . .
. . . . **)

Czyż to nie widmo, które ja stworzyłem,
I w chwili natchnień sam wywiódłem z siebie?..
Nie! téj postaci ja nie wymarzyłem!
Ona przez Boga wymarzona w niebie.
I tu na chwilę tak krótką zleciała,
Jak Anioł siadła przy méj łodzi sterze...
Ach! gdyby tutaj na wieki została!...
Śmiejcie się wiatry, że ja w szczęście wierzę!...
Śmiejcie się fale, lecz płyńcie powoli!
Żaglu mój biały, nie pędź tak do brzegu!
Ten dzień mi jeszcze nie jest dniem niedoli,
I chciałbym wstrzymać jego chwile w biegu.
Gdy lądu dotkniesz, ona zaraz wstanie,
I powie: „żegnaj, bo wracam wśród ludzi...“
Cóż mi na świecie w téj chwili zostanie?..
Niech więc mnie jeszcze ta chwila nie budzi.
Niech jeszcze marzę, że mi ten dzień bogi
Na zawsze dały, że na wód krysztale
Zlały się razem losów naszych drogi,
By płynąć w wieczność razem, jak te fale!

. . . .

Jutro dopiero niech będę przeklęty!
Niech gwóźdź jéj dłonią z piersi mi wyjęty,
Padnie znów ostrzem i piersi przebije;
Niech jędza nudy, która we mnie żyje,
Mózg mój wydrąży na otchłań piekielną!
Lecz jutro — jutro, a nie teraz, Boże!
Téj reszty życia będę bronił wściekle!
Rozpacz mnie jutro czeka w mojém piekle,
Zostaw mi dzisiaj to błękitne morze.

Neapol. Czerwiec 1839 r.

Uwaga. Wiersz powyższy umieściły „Kłosy“ w 819 nr. z dnia 10 Marca rb., a nadesłał go St. Kiernicki z Krakowa, który twierdzi, że znalazł go w swym zbiorze autografów. Redakcya „Kłosów“, choć znajduje w formie i treści tego wiersza pewne cechy, właściwe Zygmuntowi, jednakże niezupełnie ręczy za prawdziwość. Wątpliwość możnaby łatwo rozstrzygnąć z autografu, ale tenże, jak twierdzi St. K., po odpisaniu zniszczał do reszty. Wiersz ten miał być nadesłany jednéj z osób rodziny Kiernickiego do albumu. Znać nie bardzo ceniono sobie tę pamiątkę, kiedy papier zbutwiał. Należałoby wyśledzić — co to była za osoba? — przecież możnaby dójść w tym względzie prawdy, a wtedy możnaby rozstrzygnąć wątpliwość co do autentyczności wyżéj przytoczonego wiersza. Umieszczając ten utwór pragniemy zachęcić do usiłowań w tym kierunku.

*) Rękopis niewyraźnie pisany i przedarty.
**) Całe dwa wiersze zupełnie nie czytelne, wilgocią zalane.

Redaktor i nakładca J. Chociszewski w Poznaniu. — Czcionkami F. Chocieszyńskiego w Poznaniu.